

Z notatnika

Przełożył Miłosz Waligórski

Niewidzialne miasta (komentarz)

1.

Przed pięciuset laty król nadał osadzie prawa miejskie. Pół tysiąclecia mizerną, zabłoconą wieś rozpiera duma. Szczyci się wspaniałym herbem. Po niezgrabnie wybrukowanych uliczkach spacerują krowy.

Przed dwustu laty w mieście urodził się drugorzędny, tak zwany budziel narodowy.

Napisał poradnik uprawy warzyw. Na jego domu rodzinnym, który podobno nie jest autentyczny, lśni duża marmurowa tablica.

Ale w mieście urodziłem się też ja. Mam zaledwie trzydzieści lat, lecz jestem wyjątkowo utalentowany. Mój artykułik o dopaminie w siatkówce szczura laboratoryjnego opublikowało zagraniczne czasopismo. Za rok zostanę docentem, mimo że mój przełożony, pięćdziesięcioletni docent, wpada w złość.

Burmistrz mówi mi, że otworzy izbę pamięci znanych krajanów i mieszkańców miasta. Na przykład przez pół roku mieszkał tutaj lekarz, który został profesorem uniwersytetu w Wiedniu. Szukajcie, a znajdziecie. Wiem, że w izbie pamięci będzie miejsce również dla mnie.

Większość ulic nie ma kanalizacji.

W izbie pamięci znajdzie się moje zdjęcie portretowe, krótki, acz trafny życiorys i spis moich prac naukowych.

2.

Pan Calvino popełnił utwór o „niewidzialnych miastach”, przez co zasugerował, że istnieją też miasta widzialne. Wydaje się oczywiste, że miasta, na przykład Paryż czy Pezinok, można zobaczyć.

Jadę do Paryża i patrzę. Myślę sobie: „Widzę Paryż”.

Ale: widzę Luwr, Plac Zgody, piękną aleję, na niej miłorzqób japoński, Pola Elizejskie, Łuk Tryumfalny.

Paryża nie widzę. Paryż konstruuję za pomocą patrzenia, pamięci, wiedzy i wnioskowania.

Paryż to niewidzialne miasto, ale i Pezinok jest niewidzialnym miastem.

„Widziałeś Trenczyn?” „Tak, widziałem”. Widziałem rynek, kontury zamku widoczne z rynku, muzeum malarza. Bazovskiego? Bazovský miesza mi się z Fullą. Malarz jak malarz. Pamiętam taki jednolity budynek. Stare gimnazjum? A to nie w Żylinie?

Pamiętam łuk tryumfalny rzymskiego cesarza. Którego? Stał nad rzeką. W którym mieście? Zapomniałem. Łuk stoi nad rzeką, dokładnie pamiętam, bardzo dokładnie. Ale: gdzie? W „niewidzialnym” mieście. Miasta oscylują między widzialnością a niewidzialnością, między rzeczywistością a nierzeczywistością.

3.

Miasto zastąpiło dzięki kamiennemu zamkowi. Pod zamkiem połyskiwały modernistyczne i postmodernistyczne szklano-betonowe budynki. Znalazł się też styl secesyjny: kilka domów mieszkalnych mogłoby stać nawet w Barcelonie.

Tak, ale: filozof Berkeley przekonująco dowodził, że materia nie istnieje. Jeśli nie istnieje, z czego, pytam się, powstały cegły tych secesyjnych budynków, szkło i beton banków czy ubezpieczalni oraz zamkowe kamienie?

No jeśli nie z materii, to z ducha. Umiecie sobie wyobrazić, że *tertium non datur*?

Tak: ale. Duch jako substrat cegły ma inne właściwości niż duch, substrat myśli. Są zatem dwa duchowe substraty, które się między sobą różnią, tak jak różniły się duch i materia, zanim filozof Berkeley nie przeprowadził swojej dezynfekcji.

Jestem w mieście, stąpom po jego bruku: po twardym bruku, który przed stu laty położyli budowniczowie. Substrat jest bardzo wysokiej jakości, nie każdy duch może tyle wytrzymać. Ja, uczeń Berkeleya, rozmyślam, z czego, w związku z tym, jest miasto. Jeśli z tego samego materiału, co sen, a przecież są takie teorie, to powinienem podziwiać trwałość i niezniszczalność niektórych snów.

4.

Miasto szczeni się uniwersytetem. Założył go ważny cesarz, a los zaszerwował uczelni ponad sześć wieków istnienia: zdążyła się więc prężnie rozwinąć. Uniwersytet to miasto w mieście: obwarowany przywilejami i prawami został powołany do istnienia, które możemy nazwać „metafizycznym”.

Kiedy studiowałem na uniwersytecie, równocześnie byłem obywatelem miasta, w którym uczelnia funkcjonowała. Ale: byłem też mieszkańcem internatu i poruszałem się po określonych ścieżkach codzienności.

Jeśli miałbym wyrysować przemierzane przez siebie szlaki, zobaczylibyście, że były mizerne jak drogi ciał niebieskich.

Miasto było dla mnie zbędne.

Moja duchowa podróż po uniwersytecie? Czy zrobiłbym dobrze, gdybym przedstawił ją na wykresie? Czy duchowości można wyznaczyć trasę? Uniwersytet chyba jednak też był dla mnie zbędny.

Kiedy skończyłem studia, wyprowadziłem się z miasta.

Miasto uniwersyteckie i jego uniwersytet przejęli funkcję rodziców, którzy umarli.

Jak oddziałują nieżyjący rodzice? Pomieszkują w nas, ich widmową obecność nazywamy intrajektami. Bywają żywsi niż w czasach, kiedy byli fizycznie i chemicznie.

5.

Autobus zatrzymał się na parkingu. Przewodnik zaprowadził nas na łąkę porośniętą niskimi krzakami i różnobarwnie kwitnącą roślinnością. Wśród traw na ziemi leżały białe kamienie. Kamień jak kamień. Ale niektóre z nich były aż zanedo regularne. Gdzieniedzie ich wzajemne ułożenie bardzo rzuciło się w oczy. Jakby to nie przyroda je porządkowała. No ale przecież. Przyroda czasem udaje nieprzypadkowość. Niekiedy tak skutecznie, że to udawanie staje się prawdą. Jeśli od przewodnika i z turystycznych broszur nie dowiedzielibyśmy się, że na łące zachowały się pozostałości po ongiś potężnym i znaczącym mieście, byłibyśmy zupełnie zbici z tropu. Kamienie mogły przecież być preparatami przyrodniczymi albo pozostałościami zupełnie nieistotnej wsi: ich wiek można było szacować na cztery tysiąclecia, ale równie dobrze na niecały wiek. A może łąka była wysypiskiem, na które wywożono resztki z budowy dworku we wsi nieopodal. Czy przypadkiem te znaczne ruiny nie są przedmiotem archeologicznej pomyłki? Czy w ogóle na archeologach można polegać?

Kiedy wchodziłem do autobusu, czułem się jak uczestnik jakiegoś szarlatańskiego przedstawienia. Chętnie byśmy wierzyli, ale niechętnie jesteśmy łatwowierni.

6.

Historiograf, geograf albo poeta miastu, o którym ma mówić albo pisać, przypisuje jakieś przeznaczenie. Ludzie uważają, że istnieje korespondencja między miastami a losami.

Miasto numer 12 wygrywa los numer 12.

Człowiek Ivan przyjmuje Ivanowy los.

Zakładamy, że w tę korespondencję wierzą sami geografowie, historiografowie, psychologowie, pedagogowie itd.

Pan Stendhal spotyka Juliana Sorela. Jakiego udzieli mu losu?

Pan Calvino wymyśla niemożliwe miasta: to jedyny w swoim rodzaju konstruktor losów.

Pan Malraux (jeśli się nie mylę) zrobił trik: śmierć zmienia życie w los, zapisał. Nadzwyczajny pomysł, a niech mnie.

Śmierć w porównaniu z losem to prowizorium.

Mechanizmy życia ulegają zniszczeniu i rozpadowi. Ale mechanizmy losu są z mocnego materiału.

„Co sądzisz o mieście numer 24?”. Losowanie przeznaczeń jest sprawiedliwe.

Julianowi Sorelowi mógł się trafić los Rastignaca. Dlaczego nie?

Rzymowi w udziale mógł przypaść los Kartaginy. A co.

7.

Do miasta przyrastają ludzie. Królewiec i Kant. Weimar i Goethe.

Do człowieka przyrasta miasto. Każdy z nas nosi w sobie niewidoczne miasto: tak jak w swoich jelitach nosimy kilogramy drobnoustrojów.

Drobnoustroje w jelitach dają nam witaminy: gdyby zginęły, umarlibyśmy.

Miasto, które nas wchłania, bezzwrotnie nas też karmi: czym? Sokami, światłami i głosami, które w sobie nosi.

Interesujący związek. Intrajekt, nasz mieszkaniec, wchłania nas jak drapieżnik zdobywca.

Pan X jest z podgórskiego, staroświeckiego miasta. To miasto bez znaczenia wydało go na świat, ochrzciło, żywiło: aż do matury. Pan X w dalekiej Kanadzie został znanym naukowcem. Zajął stanowisko w wielkomijskim instytucie naukowym. Ale małe miasteczko nie może się go pozbyć, czyli: pan X nie może pozbyć się małego miasteczka.

Pan X nie wie o swoim intrajekcie, tak jak pan baron nie wie, że jego pradziadek handlował używanymi ubraniami. Tylko od czasu do czasu, na przykład na Wielkanoc, wspomina mamę, pieska Puncia, księdza wikarego. Czuje się większy, o wiele większy od miasteczka, które jest większe, o wiele większe niż on.

O refleksji

1.

Nasze czasy są czasami refleksji-odbicia.

Żadnego mędrca nie dziwiło, że na powierzchni kałuży widzi obraz księżycy i chmur. Wszelchobecne przedstawienia wydawały się częścią przyrody: mechanizmem jej struktury.

Ale na powierzchni kałuży ujrzeć siebie: TO niepojęte: drażni i wykracza poza naturę: to utrata siebie w przedstawieniu i równoczesne w nim zmartwychwstanie. OTO „prawdziwa” refleksja: odbicie siebie. TUTAJ pojawia się dialektyka przyswojenia i wyobcowania, dialektyka bezpośredniego i zapośredniczonego, czyli: TUTAJ: „umiera” „człowiek”, „ja”, „Selbst”, by przebudzić się jako reflektujący-odbijający się, denaturowany człowiek, który już nigdy „nie znajdzie się” w swojej rajskiej preegzystencji.

Refleksja-odzwierciedlanie to działanie samoistne. Funkcjonuje w nas nacjonalistyczny, schizoidalny mechanizm: kiedy nabiera tempa, zatrzymuje się tylko w krótkich ek-stazach, których autentyczność jest wątpliwa.

Refleksja-odzwierciedlanie stała się jakby „naturalnym” stadium antropogenezy.

Antropogeneza kończy się dopiero teraz, w czasach refleksji-odbicia.

2.

Zanika różnica między autentycznością i nieautentycznością.

Refleksja-odbicie jest swobodna, czyli dowolna. Skoro niesie dowolny potencjał konstrukcyjny i de-konstrukcyjny, znaczy, że jej artefakty to preparaty przyrodnicze.

(Pan I myśli bez poczucia pewności. Nurt jego rozważań hamują pytania: Czy aby się nie mylę?).

W procesie ewolucji post-człowiek ucieleśni to, co Marks widział jako „skok z królestwa konieczności do królestwa wolności”.

Wyobraźmy sobie, że Narcyz widzi siebie takiego, jakim jest, naturalnie. Ale przedstawienie może być także nienaturalne. Wyobraźmy sobie, że Narcyz na powierzchni wody widzi kubistyczny albo rentgenowski obraz siebie. „Ale ze mnie potwór,” szepcze Narcyz, widząc to horrendum.

Refleksja-odbicie prowadzi do deformacji, powtarzamy naiwnie.

Zadajemy pytanie: czy istnieje „forma” uprzywilejowana? (Czyli: forma arystotelesowska). Tak jakbyśmy się pytali, czy istnieje uprzywilejowana droga przemieszczającego się przedmiotu.

Nie istnieje. Czyli: „deformacje”, na przykład kubistyczne, to równorzędne analogi (arystotelesowskiej) formy.

Dokąd to nie doprowadzą nas te ścieżki myśli, trapi się biedny pan I.

3.

Ludzie są postaciami z opowieści, ich położenie względem opowieści jest wzorcowo dialektyczne.

Człowiek jest autorem swojej opowieści. Marienka, decydując się uwieść Janka, inicjuje historię miłosną. Pisarka, pani O, specjalistka od powieści romansowych, temat opracowuje, udoskonala i przedstawia czytelnikom.

Ale równocześnie opowieści to podmioty, w stosunku do których człowiek jest przedmiotem. Wojna: wielkie wakacje według Radigueta: wielka narracja, generałowie kształtują ją tak jak pani O swoją. Opowieść pochłania wielu ludzi: jesteście w stanie sobie wyobrazić, ile ludzkiego mięsa pochłonęła bitwa pod Stalingradem? W opowieści, wzniosłej jak opera, ginęli ludzie, marszałek Żukow to artysta pokroju Verdiego, rozkładali się niczym pokarm w brzuchu antylopy.

Człowiek „sam w sobie”, bez opowieści, poza nią, nad albo pod: czy istnieje? Nie jest czasem „istnienie” przekształceniem człowieka w postać? Staram się wierzyć, chociaż nie bardzo mi się udaje, że jesteśmy (ja, ty, oni, wszyscy), każdy dla siebie, i to czymś więcej niż tylko postaciami z własnych opowieści.

4.

Wymyślmy sobie apokryf.

Generał hrabia Wroński jako bardzo witalny, lubiący się w zbytkach osiemdziesięcioletek leczył się w Marienbadzie: leczenie było przyjemne, dominowała metoda przesiadywania w kawiarni, zaś przedmiotem kuracji była przede wszystkim nuda. Pewnego razu pułkownik Wheatstone, jego nowy znajomy, zapytał: „Panie hrabio, zdaje się, że za młodu, jeszcze jako zupełnie nieopierzony młodzieniec, przeżył pan pewną bardzo romantyczną historię. Czy to prawda?” Pułkownik był ździebko rubaszny, ale zwycięstwa w Indiach i w Afryce całkowicie go do tego uprawniały. Generał ścierpiał wścibskie pytanie, chwilę pomyślał i, przybierając uśmiech światowca, odpowiedział: „Historię? Nie, jaką tam historię, niewinny epizod, młodzieńczy wybruk”. Zamyślił się ponownie i dorzucił: „A wie Pan... Tylu ludzi z tamtych dawnych lat nie umiem już sobie nawet wy-

obrazić. Poznicali, jak poranna mgła w promieniach letniego słońca.” „To interesujące” – powiedział pułkownik – „w przypadkowej strzelaninie w Bejrucie zginęła małżonka mojego kapitana. Kochałem się w niej i jej śmierć bardzo mnie dotknęła. Ale dzisiaj nie umiem sobie przypomnieć jej twarzy. Zniknęła, jak to Pan mówi, jak mgła. Za to bardzo dokładnie pamiętam jej psa, przepięknego charta. Jego pamiętam, jakbym widział go wczoraj.”

5.

Tomasz Mann wymyślił swojego Tonia, pisarza, który ironicznie i pobłaźliwie obserwował „poetę”, laickiego wierszokletę, zachwyconego banalną romantyczną muzyką. Tonio to technolog: kiedy „pisze”, musi być bezwzględny, żadnej tam miłej ludzkiej „miłości”.

Później Mann wymyślił genialnego technologa, Adriana, i znakomicie wcielił się w rolę jego kronikarza: stał się licealnym panem profesorem, filologiem, naiwnym wrażliwcem, ofiarnym, wystraszoną, ludowo filozofującym piewcą „kultury”, „duchowości”, obrońcą „wartości”. Inkarnacja Tomasza Manna w marną postać bez znaczenia poraziła mnie. Czyżby utożsamiał się z tą trochę śmieszną, a z dzisiejszego punktu widzenia staroświecką osobką? Czyżby wierzył w „kulturę”, „duchowość” jako w coś pewnego i godnego zaufania? A może skrycie zamierzał ośmieszyć „ideaty”? Nie jest czasem Doktor Faustus reprodukcją Don Kichota? Doktora Faustusa czytam (jakoś tak) na opak: jako smutne pożegnanie ze „starymi czasami” i zapowiedź „nowego świata”.

„Nowego świata” my, starsi panowie, wychowankowie starych mądrych uniwersytetów i bibliotek, nie rozumiemy i dlatego postrzegamy go tak demonicznie. Jak coś, co wзира spoza horyzontu.

6.

Sztuka, a uważam, że całkiem logicznie (co dowodzi, że logika, jeśli jest konsekwentna, kończy się absurdem), dotarła do granic, jeśli w ogóle istnieją granice między Europą a Azją: a na granicy dziwnieje i wątpieje. „Czy TO jest sztuka?” Pan X, konserwatywny postępowiec, obrońca „umiarkowanego postępu w granicach prawa”, wątpi w arcyzm artefaktów, które jako konsumentowi przychodzi mu trawić. „Tak, TO jest sztuka” – twierdzi teoretyk, i to uczenie. Podaje mądre argumenty. Sztuka rozwija się, yhm, w rytmie pewnych, bytowych następstw. „Co będzie dalej” – zastanawia się pan X, kiedy próbuje wyobrazić sobie niewyobrażalne, przyszłość. Czy Horacy mógł przewidzieć, że pewnego dnia, kiedy on, na swoje szczęście, będzie już dawno martwy, utwory ekspresjonistyczne staną się „poezją”? Jak to dobrze, rozmyśla pan X, że granica jest dość pojemna i póki żyję, mogę się w niej schować. „Graniczność” jest dzisiaj w modzie. Psychiatrzy, odkrywcy „zaburzeń granicznych”, prawdopodobnie niechcący wpadli na coś więcej: że nasz czas jest jakimś czasem granicznym, w którym wszystko, również sztuka, teologia, psychologia i fizyka, granicznieje.